

Jedzenie z działki

Anna Cieplak

Mój pierwszy nieświadomy festiwal fascynacji zarówno pieniądzem wspólnym, jak i kapitalizmem odbył się w DarłóWKu latem 1998 roku na zielonej szkole.

Przypomniało mi się to zdarzenie, kiedy czytałam ostatnio, jak Lucha i Hope w książce Luci Berlin *Wieczór w raju* sprzedają losy z imionami. W ich loterii można wygrać grający kuferek. Dziewczyny po pierwszej udanej sprzedaży od razu rozwalają kasę na lody bananowe i piwo imbirowe.

U nas było tak: siedzimy w pokoju i rozmawiamy o urodzinach Dagmary. Basia sugeruje, że fajnie by było zrobić w pokoju imprezę po ciszy nocnej. Wszyscy patrzymy na Dagmarę. To przecież jej urodziny, więc pewnie kupi cukierki – tak jak te, które rozdaje się w klasie w normalnym trybie zajęć, a ja nigdy ich nikomu nie dałam, bo mam urodziny w sierpniu. Niestety, Dagmara nie patrzy nam w oczy, tylko mówi, że nie ma już prawie kasy, bo wszystko przepuściła na automatach. Przekazała swoje kieszonkowe na hazard ręką w rękę z podejrzanym panem, który nam wylawiał miśki z automatu za dwa złote, „bo się znał”. Tak się znał, że jej nie wylowił nic za 12 złotych. Pada więc decyzja: zrzutka. Okazuje się, że w ten sam wieczór nie śpimy do późna, bo mamy we krwi cukier, który buzuje. Nakupiliśmy żelek, wafelków, chipsów, ciastek, słodkich napojów i pewnie jeszcze na dobitkę wciągamy zozole. Wniosek po imprezie był następujący: nie kupujemy już niczego osobno, tylko zrucamy się całym pokojem raz na kilka dni. To się oplaca i można wtedy spróbować wszystkiego i mieć dłuższy słodczowy haj. No i więcej wydawać na hazard pluszakowy w automatach.

Powyższe zdarzenia są jak rewers grzecznych *Dzieci z Bullerbyn*, gdzie banda dzieciaków uczciwie zarabiała, sprzedając wspólnie zebrane wiśnie. Po całym dniu pracy kupowały sobie za to oranżadę i ciastka, a resztę oszczędzały. Zanim jednak w książce następuje ta pocziwa scena odkładania pieniędzy na później, to czytamy, jak Lasse skacze na sam środek szosy, żeby siłą zatrzymać auto potencjalnego klienta.

Te dziecięce przykłady skłaniają mnie do nieco innego pytania: jak we wspólnym celu gospodarować pieniędzmi, nie zasilając kapitalizmu i wielkich korporacji? I czy takie inwestycje wspólne muszą się wiązać z obiegiem pieniężnym? Choć wiadomo,

że anarchiści, spółdzielcy, NGO, a nawet niektóre samorządy mają swoje sposoby na dobro wspólne czy lokalne waluty, to mnie najbardziej fascynują dwa miejsca...

Działki

W 2014 roku brałam udział w Idea Campie w Mar-sylii, gdzie, tak się złożyło, moderowałam warsztaty w grupie złożonej z ośmiu osób z kilku krajów. Osoby te miały różne pomysły na realizację projektów związanych z jedzeniem jako dobrem wspólnym. Nie miałam o jedzeniu żadnego pojęcia, bo wtedy żywiłam się głównie zupkami w proszku oraz kanapkami z pomidorem. Z zaciekawieniem słuchałam o tym, jak w południowych krajach ludzie walczą o prawo do mandarynek, jak w Grecji po kryzysie szukali luk w możliwości sprzedaży jedzenia z rowerów, albo o tym, jak pod Wilnem grupa aktywistów chce otworzyć stołóWKę społeczną w starym dworku. I myślałam o działkach!

W mieście, gdzie się urodziłam, jest 15 ogrodów działkowych o łącznej powierzchni około 114 hektarów. W sumie 2864 działki. Początkowy obraz rodzinnych ogrodów działkowych, jaki mam przed oczami jako dziecko, to obraz wielu prowizorycznych budek, w których trzymało się wiadra, łopaty i inne narzędzia potrzebne do uprawy ziemi. Niektórzy hodowali kury czy gołębie. Ludność napływowa – która pojawiła się w Dąbrowie Górniczej po powstaniu Huty Katowice – sprawiła, że liczebność mieszkańców w pięć lat zwiększyła się niemal dwukrotnie (1975 rok – 79 785; 1980 – 141 000). W dużym stopniu byli to mieszkańcy rejonów wiejskich ze wschodniej Polski, dla których dostęp do działki stanowił pewną rekompensatę po przeprowadzce do ciasnych bloków.

Przez pierwsze dekady XXI wieku funkcja działek się zmieniła na bardziej rekreacyjną. Rzadko już można było na nich spotkać większe miejsca wyznaczone na uprawę warzyw czy owoców. Miejsca, które dawniej przyznawały zakłady pracy za niewielkie pieniądze, bardzo się różnią, odkąd zaczęto w nich tworzyć ogrody. Na ich terenach ludzie budują domy, niektórzy mieszkają tam przez sporą część roku lub

nawet przez cały rok. Na działkach śpią też czasem osoby bezdomne. Trudno nakreślić ogólny profil mieszkańców czy sezonowych mieszkańców, bo każdy ogród działkowy zawiera wiele osobnych wyjątków i historii. Tak jak w tym słynnym tabu z lat 90., po co idzie się na pięć minut z działki do lasu, gdy nikt nie ma przy domku wychodka. W ogóle to mam nadzieję, że jak kiedyś powstanie wreszcie ta oczekiwana wielka epicka powieść, to będzie o działkach i ich tajemnicach, które uważam za ważny element kultury polskiej.

Ale wracając na teren RODOs, fascynuje mnie w nim od pewnego momentu nadprodukcja i sposoby wymiany, a także to, jak dochodzi na działkach do transakcji, kiedy, za co, i co z tego wynika. Bo od pewnego momentu znowu widzę powrót do uprawy roślin. Na przykład moja mama przechodzi na działkę do pana Tadka i zbiera za niego truskawki. Robi to, bo jak stwierdza: „On sam nie zbiera, bo mu się nie chce, i się marnują, więc ona je zbiera i potem obdziela sąsiadów”. Co roku nadprodukcja działkowa jest inna. W tamtym roku dostawaliśmy z moim chłopakiem tony cukinii i dyni. Dwa lata wcześniej był nadmiar winogron, które w tym roku zupełnie nie obrodziły i domowego wina nie będzie. Część moich koleżanek z podstawówki ma podobnie. Biorą te wszystkie plony, a później kiszą rzodkiewki czy robią pasty z groszku. Generalnie może nie będę udawać, że się jakoś szczególnie znam na przetwórstwie – po prostu biorę, co dają, a później sprawdzam, co można z tego zrobić. Jak nie wiem albo nie mam czasu, to podaję dalej.

Wiem więc jedno: na działkach jest niemal zawsze pewna nadwyżka, która trafia do rodziny, sąsiadów, znajomych z bloków. Warzywa owoce i zioła, a także zrobione z nich rzeczy (soki, ciasta) krążą po ogrodach. Kiedy jednak dostaje się trzecią siatkę śliwek w tygodniu, to trochę kończą się pomysły na to, jak wykorzystać owoce w odpowiedni sposób, i nasze plony trafiają ostatecznie w całkiem nieoczywiste miejsca.

Polskie działki mają osobne ścieżki obiegu dóbr, które wydają się oczywistą drogą do dzielenia się szerzej tym, co zostało wyhodowane. A jednak nie jest tak do końca, bo warzywa i owoce przechodzą z rąk do rąk głównie między znajomymi osobami. To nie jest tak jak z kupowaniem roślin od rolnika. Nieprofesjonalna hodowla działkowa jest mniej przewidywalna, dynamiczna i oparta na innych zasadach. Uruchamia się jednak pytanie, czy da się w małej społeczności wytworzyć takie kanały owocowo-warzywno-ziołowe, które umożliwiłyby bezpłatne dzielenie się produktami w miejscach publicznych, także z osobami spoza kręgu działkowiczów. Takie targi, gdzie można zostawić albo wymienić plony. Które miasto czy gmina byłyby gotowe na to, aby docenić rangę indywidualnych upraw, stających się tak naprawdę w pewien sposób dobrem wspólnym? Czy dałoby się wprowadzić rozwiązania bezpieniężne dla takiego obrotu? Gdzie są place współdzielcze dla działkowiczów?

Stołówki

Na stoliku obok okienka, gdzie wydawano żywność, w mojej szkole podstawowej, leżały karteczki z imieniem i nazwiskiem każdego, kto mógł dostać obiad. Te dla dzieci z MOPS-u miały inny kolor i do dzisiaj nie mam pojęcia po co, skoro posiłki były takie same dla wszystkich. Stojąc w kolejce, zaglądałam jednak nie w karteczki, żeby to sprawdzić, ale w okienko. Nie wpuszczano nas do kuchni, więc mogłam tylko sobie wyobrażać zaplecze i miałam kilka sekund, żeby zapuścić żurawia, gdy podchodziłam po talerz. Zastanawiało mnie, jak to jest być intendentką, która planuje zakupy dla całej szkoły i zawsze wystarczy jedzenia. W niektóre dni nawet na dokładki. Genialny zawód! Fascynowało mnie, ile ziemniaków przypada na szkołę. Albo dlaczego dają nam na przykład sześć, a nie pięć kopytek, i na jakiej podstawie stwierdza się, że to jest optymalna dawka spożywca.

Dzisiaj myślę o stołówce jak o ogromnym obiegu pieniędzy, którymi dysponują instytucje publiczne. O tych wszystkich przetargach, sanepidach, drogach czystych i brudnych oraz o tym, jak ogromna odpowiedzialność spoczywa na ludziach decydujących o zarządzaniu budżetem na żywność i cateringami. Planują przecież menu dla ogromnych grup.

Zastanawiam się, czy istnieje coś takiego jak polityka żywieniowa szkoły albo miasta. No bo zasadniczo można takie sprawy modelować. Na przykład w taki sposób, żeby dieta stołówki była roślinna, co w przełożeniu na problemy globalne jak produkcja mięsa, która pochłania ogromną ilość wody i cierpienia, mogłoby być pewną kroplą w morzu potrzeb. Jednak można zadbać o taką sprawę na lokalnym podwórku, które też jest areną doświadczania przez wszystkich katastrofy klimatycznej. Nie wszystko, co mięsne, jest przecież drogie, można też znaleźć wiele zamienników. Zastanawiam się też, jak intensywniej korzystać z produktów lokalnych i dbać o ich powszechną dostępność. Albo jak skuteczniej włączać w przygotowanie posiłków dzieci czy młodzież. Czulałam zazdrość, kiedy znajomy z Londynu, Martin Kiel, opowiadał mi o tym, jak prowadzi stołówkę szkolną razem z dziećmi z zespołem Downa. Przypomniała mi się królowa polskich sałatek, którą robiłam na technice z warzyw wcześniej ugotowanych w domu. To było raz na 12 lat edukacji. Pokroiłam sobie w kostkę prywatne warzywa na terenie szkoły.

Marzy mi się, żeby takie sprawy jak funkcjonowanie stołówek były omawiane z mieszkańcami i mieszkankami. Bo przecież oni mają prawo decydować o kształcie tego, jak funkcjonuje miasto, nie tylko w formie budżetu obywatelskiego (który często potwierdza brak prawdziwej partycypacji). Wyobrażam sobie przyszłość średnich i małych miast jako miejsc, które wykorzystują do budowania nowych form współpracy tereny takie jak działki czy ogrody miejskie na większą skalę. Nie jako dekoracje przestrzeni publicznej, które się strzyże równiutko jak trawniki.